

## CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

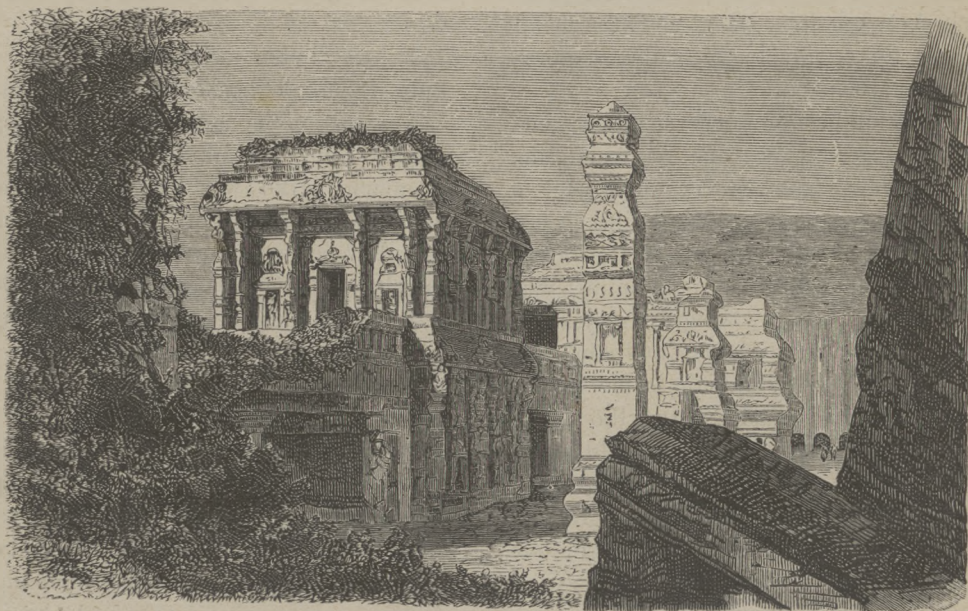
### POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

#### V.

#### ARCHITEKTURA INDYJSKA.

Indyanie, zamieszkujący rozległą krainę w Azji południowej, byli narodem cywili-

zatem, że musiały kiedyś, w niezmiernie dawnych czasach, przywędrować z Azji do Europy. Język, którym te księgi są pisane, nazywa się sanskrytem, zauważono w nim uderzające podobieństwo do języków europejskich; wiele wyrazów ma zupełnie jednako-  
we brzmienie w sanskrycie, w łacinie i w no-



#### Świątynia indyjska.

zowanym już na kilkanaście wieków przed Chrystusem. Księgi ich starożytne niezmiernie są ciekawe i zajmujące dla uczonych, gdyż mieszczą w sobie mnóstwo dawnych podań, z których dość można, że wszystkie prawie narody europejskie pochodzą z tegoż samego szczepu ludzkiego, co Indyanie, a

wożytnych językach. Najlepszy to jest dowód, że niegdyś wszystkie plemiona, z których powstały dzisiejsze narody europejskie, miały wspólny jakiś język z dawnymi Indyanami. Cały ten szcep ludzki, do którego należą jeszcze i Persowie w Azji, nosi ogólną nazwę Aryów albo Aryjczyków. Uczeni ro-

znajcie znaczenie tej nazwy tłumaczą; nie będziemy więc twierdzić na pewno, czy Arya ma oznaczać rolnika, czy człowieka wyższego rodu; wiecie zapewne, iż w Indyach od niepamiętnych czasów ludność podzieloną jest na kasty, to jest, jedne rody z ojca na syna uważają się za szlachetniejsze, drugie za mniej szlachetne i stosownie do tego, nie wszyscy mają prawo do jednakowych rzemiosł i zajęć w kraju. Ale trzeba wam wiedzieć, że cały ten liczny szereg Aryów, w Azji i Europie, jest potomstwem Jafeta, można więc także ludy do niego należące nazywać Jafetydami, tak jak Izraelitów i Asyryjczyków nazywają Semitami, a Egipcyan Chamitami.

Zabytki sztuki Indyan starożytnych, budowle ich i rzeźby, nie mają tak wielkiego znaczenia dla historii, jak dawna ich literatura. Wszystko tam jest potworne, a ozdoby mają zwykle tak przerażające kształty jakichś olbrzymich zwierząt, węzów, dziwadł prze-różnych, że wyglądają, jak gdyby ktoś chciał odtworzyć to, co mu się przyśniło w gorączkowych marzeniach.

U wszystkich narodów najwspanialsze budowle bywają przeznaczone na świątynie, gdzie się oddaje cześć bóstwu; muszą więc te dzieła sztuki stosować się do religijnych pojęć. W mitologii indyjskiej pełno jest bóstw potwornych, fantastycznych; Bramini, wyznawcy Brahmy, najwyższego indyjskiego bóstwa, oddają cześć węzom, małpom, słoniom, a oprócz tego wyrabiają sobie bałwany, których obrzydliwe kształty tylko wstręt i obawę budzić mogą. Religia Buddystów, czyli wyznawców Buddy, później zaprowadzona w Indyach, zupełnie jest odmienna i nie ma takiej fantastycznej mitologii; ale Bramini zawsze z nią walczyli i najczęściej brali górę. Później znów jednych i drugich pokonali mahometanie, i prawie wszędzie objęli władzę w państwach indyjskich, a dziś z kolei ustępować muszą przed Anglikami, którzy główniejsze kraje Indyj opanowali.

Wszystkie starożytne ludy pierwsze budowle swoje wznosiły na wzór pagórków; nawet i piramidy egipskie zapewne miały naśladować prawdziwe góry. Najprostsze pagody, czyli świątynie indyjskie, mają także

kształt zaokrąglony, przypominający mogiłę. Wyraz *Pagoda* ma pochodzić od *dagop*, czy też *dagoba*, co znów ma oznaczać grobowiec świętości. W takich grobowcach składano drobne cząstki ciała Buddy, założyciela tej religii, np. każdy zęb jego miał osobny grobowiec, który był zarazem świątynią. Później też same świątynie, zabrane przez Braminów, stawały się znów przybytkiem potwornych ich bóstw.

W świątyniach indyjskich zwykle główna część, to jest właściwa pagoda, w której się znajduje wyobrażenie bóstwa, otoczona bywa mnóstwem przedsionków, galerij, przejść rozmaitych, ogromna ilość kolumn podpira tam wszędzie suity, zazwyczaj dość niskie. W Azji rośnie gatunek figowego drzewa, które liczne gałęzie zapuszcza w ziemię dookoła pnia głównego, ztąd powstaje, jakby las kolumn. Nazywają to drzewo figą świątyniową; bardzo być może, iż architekci indyjscy upatryli w niem wzór do swoich budowli.

Najosobliwsze świątynie indyjskie są wykute w skałach, z jednej sztuki, tak że są raczej wyrzeźbione, aniżeli zbudowane, gdyż nigdzie tam nie układano kamieni na kamieniach, tylko wszystko jest wyłobione, wycięte z jednej potężnej masy kamienia. Już dawniej wspominaliśmy wam o podobnych budowlach podziemnych w Egipcie; w Indyach także niektóre z tych świątyń są to rozległe podziemia, mieszczące w sobie niezliczone mnóstwo kryjówek, gdzie przebywają potworne bóstwa kamienne i żyjące potwory, jak węże, małpy i inne zwierzęta, którym cześć balwochwalczą oddają. Ale niektóre są pod otwartym niebem wyciosane i tak całkowicie oddzielone od skały naturalnej, że wyglądają, jakby osobne budynki. Ellora, starożytne miasto w Dekanie, południowej części Indyj przedgangesowych, posiada mnóstwo zabytków tej szczególnej architektury. Jedną z najwspanialszych świątyń tego rodzaju, poświęconą bóstwu Sziwa, przedstawia nasza rycina. Olbrzymie słonie kamienne podtrzymują filary gmachu, który się składa z kilku części, połączonych jakby mostami, z téjże samej skały wyciosanemi. Główna świątynia ma 61 stóp długości na

55 szerokości, wysokość jej sięga 90-ciu stóp. Dokoła, o kilkadziesiąt stóp oddalenia, wznoszą się strome ściany skały, z której gmach został wyrąbany.

Nie będziemy wam opisywać innych świątyn indyjskich, wszystkie one mniej więcej podobne są do siebie; nie widać w tych budowlach wyrobionego smaku, ani kształtów prawdziwie pięknych, ogólną ich cechą wszędzie jest fantastyczność, a nawet potworność. Mnóstwo zabytków tej architektury odszukano niedawno w Kambodży, krainie należącej obecnie do Francuzów. Plemie indyjskie, które tam niegdyś potężne posiadało państwo pod nazwą Kmerów, musiało mieć wielkie i bogate miasta, widać to z pozostałych szczątków pałaców i świątyn. Dotąd jednak dzieje tego narodu nie są dostatecznie rozjaśnione.

Nie wspomnieliśmy wam nic o wieku indyjskich budowli; ale uczeni pod tym względem bardzo się w zdaniach swoich różnią, trudno więc coś stanowczego się od nich dopytać, bo niewiadomo komu wierzyć. Jedni utrzymują, że najdawniejsze świątynie pochodzą z zamierzchłej starożytności i naznaczają im do 7,000 lat wieku, drudzy znów powiadają, że prawie wszystkie już za czasów naszej ery były budowane. Musimy więc pozostać w niepewności, póki panowie uczeni nie odszukają na to jakich piśmiennych dowodów.

M. J. Z.

## PTAKI I OSIEŁ.

B A J K A

Ignacego Krasickiego.

Był dyskurs o słowiku: Wdzięk jego śpiewania,

Rzekł czyżyk, tak jest miły, że aż do świtania,

Od zmroku gotów jestem słuchać jego pieśni.

Tak samo powtarzali śpiewaczkowie leśni,

Tak samo i zwierzęta; osieł mało dbały  
Gryzł chwast na ustroni... więc się go spytały:

A ciebie, czy ten jego głos wdzięczny poruszył?

Mnie?... jakim się odezwał, zarazem go zgłuszył.

Przypomnijcie sobie, młodzi czytelnicy, to coście kiedyś czytali w Piśmie naszym o nauce w bajkach zawartej <sup>1)</sup> a wówczas i znaczenie naszej ryciny zrozumiecie. Kiedy kto śmiało i głośno rozprawia o rzeczach, których nie pojmuje, na których się nie zna, kiedy gani ostro to, co wszystkim się podoba, byle tylko ze swoim zdaniem wystąpić i przekrzyczeć wszystkich, podobny jest zupełnie do owego osła w bajce. Jegomość, co z taką butną miną ogląda jakieś malowidło i zapewne różne w niem upatruje wady, a zdanie swoje wygłasza zupełnie, jakby był wyrocznią, wygląda właśnie na takiego pyszałka; pewnie się wcale nie zna na malarstwie, a tylko za znawcę chce uchodzić, trzyma też w rękę napisaną *krytykę* i musi ją za arcydzieło uważać. Bądźmy zawsze ostrożni w zdaniach, zwłaszcza, jeżeli mamy coś ganić; zawsze wprzód zastanówmy się, czy dobrze się na tém znamy, bo łatwo jest bardzo przekrzyczeć drugich, ale trzeba być pewnym przedewszystkiém, że się ma słusność za sobą.

## Powieści o niewoli na Wschodzie.

Wyjāti ze Szkiców historycznych Szajnochy.

Opowiadaliśmy już kiedyś młodym naszym czytelnikom rozrzewniające podanie o powrocie z jasyru, czyli niewoli tureckiej, młodzieńca, który uważany był za umarłego. <sup>2)</sup> Podobne wypadki w owych czasach

<sup>1)</sup> Tom I Wieczorów Rodzinnych. Czytania wieczorne str. 112.

<sup>2)</sup> Świątcone starościanek. Nr. 13 Wieczorów Rodzinnych. Tom I.

zdarzały się bardzo często. Polska nieustannie narażona była na wojny z sąsiednimi Turkami i pustoszona przez najazdy Tatarów, muzułmanie zaś z wielką chęcią zawsze chwyтали niewolników i to nie tylko wojennych jeńców, lecz także ludzi bezbronych, kobiety, a najwięcej dzieci. Nawet w czasie pokoju nie było zupełnego od nich bezpieczeństwa. Tatarzy zwłaszcza różnych używali podstępów, aby się do kraju zakradać i porwać niewolnika, uwożąc go tajemnie zagranicę. Nieraz się zdarzało, że porwana tym sposobem młodzież i wychowana w pogaństwie, zapomniała zupełnie o ojczyźnie i religii; wielu Polaków się poturczyło i wychodziło na wysokich dygnitarzy w Turcyi, nosiło tytuły baszów i tym podobne. Inni zachowywali wspomnienia ojczyzny i wiary, czasem też po długich latach ciężkiej niewoli, w skutek szczęśliwych okoliczności powracali do kraju, gdzie już od dawna przestano się ich spodziewać.

Znakomity historyk Szajnocha zebrał mnóstwo takich podań, po większej części zupełnie pewnych i prawdziwych. Ponieważ dzieła jego zbyt są obszerne i poważne, ażebyście je mogli czytać w całości, podamy wam tu niektóre ciekawsze z nich wyjątki.

W jednym z dawnych pamiętników, pozostawionym przez uczonego dworzanina z Zamościa, Żurkowskiego, znajduje się wspomnienie o dwóch ofiarach jasyru muzułmańskiego, dwóch jeńcach wojennych, którzy dziwne przechodzili koleje. Szkoda wielka, że ów dworzanin nazwiska ich nawet nie zapisał, kreśląc te zajmujące dzieje, tak że Szajnocha, powtarzając je, musiał nadać jeńcom, dla jasności opowiadania, nazwisko autora, Żurkowskiego.

Porwano tych panów Żurkowskich w niewolę najprawdopodobniej podczas wyprawy Jana Zamojskiego do Multan w r. 1595. Siedmdziesiąt tysięcy Tatarstwa walczyło wtedy bezskutecznie ze szczupłym wojskiem wielkiego założyciela Zamościa, urywając tylko jeńców codziennie. Do znacznej liczby szlacheckiego i nieszlacheckiego plonu, <sup>1)</sup> uprowadzonego temi czasy w częstych zago-

nach ordy, przybyło teraz niemało brańców multańskich.

Wespół z wszystką współbracią tej niedoli powędrowali i panowie Żurkowscy zwyczajnym sposobem na troku do Perekopu, zkąd po daremnie wyglądanym okupie sprzedano ich dalej do Carogrodu. Tam znaczniejsi jeńcowie szli pospolicie do Jedykuly, po polsku Czarnej wieży, aby w niej czekać ostatecznego wyroku woli sultańskiej, albo nadesłania ogromnego okupu z Polski. Ubogich panów Żurkowskich pomieszczono w tłumie jeńców zwyczajnych, u wiosła, na galerach tureckich.

Ze wszystkich losów niewoli pogańskiej było los najstraszniejszy. Upadały pod nim tysiące naszych ofiar jasyru. Używane dawniej galery miały postać ogromnych łodzi, w których pośrodku ciągnęło się podłużne poddasze dla osady. Przeznaczeni do wiosłowania niewolnicy przykuci byli w dwa rzędy, z obu stron łodzi, po pięciu przy każdym wiosle, a było pięćdziesiąt wiosel u każdego statku. Obnażeni do pasa musieli wszyscy za danym znakiem rzucać się biodrami w tył na wiosła i tylko z niezmiernym wyteżeniem zdołali nadać wiosłom w ten sposób ruch należyty.

Galery takie bywały jedynemi statkami wojennemi owego czasu, a w każdej bitwie pierwsze strzały wymierzano do wiosel. Nikt też oprócz niewolników nie dawał się używać do służby wiosłarskiej na galerach, co w dalszém następstwie pociągnęło za sobą potrzebę tém większej liczby takich jeńców. Przy ciągłej zaś wojnie morskiej u Turków, przy niezmierniej liczbie uzbrajanych ku temu galer, ileż nieszczęśliwych ofiar jasyru spotrzebowali Turcy u swoich wiosel przez długie lata, ile porwanych ziomków naszych ginęło tam rokrocznie bez żadnej wieści!

Zagrożeni podobnym losem Żurkowscy zasługiwali ze wszystkimi współtowarzyszami swoimi na tém większe uznanie nasze, ile że niewymownie ciężka ich dola była oraz wysokiej zacności duszy świadectwem. Należało bowiem każdemu niewolnikowi chrześcijańskiemu przyznać się tylko do gotowości przyjęcia wiary mahometańskiej, aby otrzymać uwolnienie od więzów i zostać swobo-

<sup>1)</sup> Plon: zdobycz, łupy.

dnym obywatelem tureckim. Jakoż sami panowie Żurkowscy znali niemało ziomków, którzy na tej drodze umknęli katuszy na galerach, a nawet z czasem wrócili do ojczyzny.

Ale biedni Żurkowscy nie chcieli ocalić się odstępstwem; dźwigali tedy po chrześcijańsku swe jarzmo, wiosłując na galerze sultañskiej i chyba tylko od śmierci oczekując zbawienia.

Po kilkunastu latach niewoli kazano im jednego razu wiosłować z Carogrodu na greckie morze. W towarzystwie trzydziestu galer wypłynęli Żurkowscy pod dowództwem samego Kapudan-baszy na wyprawę wojenną do Małej Azji, przeciw wybuchtemu właśnie powstaniu Druzów. Przedewszystkiem chciano udać się do wyspy Negroponto, dla połączenia się tam z sześćdziesięciu innymi galerami floty sultañskiej. W pobliżu wyspy Chios wydzielił Kapudan-basza dziesięć galer ze swęj eskadry i kazał im skierować się ku wyspie.

Znajdował się pomiędzy niemi i statek panów Żurkowskich. U przylądka Corvo spostrzegły wystane łodzie tureckie jakiś nadpływający ku sobie oddział okrętów cudzoziemskich. Była to eskadra ośmiu galer neapolitańskich, wyprawiona przez wice-króla Neapolu, księcia Ossuna, ku poskromieniu rozbójników morskich w Cylicyi. Załoga okrętów neapolitańskich wrzała tak gorącą żądzą boju z jakimikolwiek Turkami, iż bez wahania uderzyła na większą nieco siłę nieprzyjacielską. Wszczęła się krwawa bitwa, która prędkiej, niż może pragnęli sami Żurkowscy, obiecywała im uwolnienie od więzów za pierwszym strzałem.

Tymczasem strzegła ich łaska Boża, równie jak strzegła zuchwałę galery chrześcijańskie. Mimo liczbę szczuplejszą, odniosły one zupełne zwycięztwo. Siedm statków tureckich zostało wziętych, trzy z trudnością uciekły. Do zabranych należała także galera panów Żurkowskich. Nieprzewidziany ten wypadek zmienił los ich całkowicie. Zwycięzcy chrześcijańscy rzucili się co prędkiej do rozkowania u wiosel niewolników, których na wszystkich galerach naliczono z radością tysiąc. W miejsce odbitych chrze-

ścijan, poprzykuwano Turków do wiosel. Uwolnieni jeńcy padli w uniesieniu wdzięczności do nóg admirałowi chrześcijańskiemu, który odesłał wszystkich do wice-króla.

Takim sposobem znaleźli się nasi panowie Żurkowscy niespodzianie w Neapolu. Wice-król tego państwa, książę Ossuna, przyjął ich bardzo łaskawie, ale nie myślał wcale przyspieszać ich powrotu do ojczyzny. Od bici z niewoli tureckiej chrześcijanie przechodzili zwyczajnie na własność swoich wybawców. Podobnież i panom Żurkowskim przyszło pozostać w poniewolnej służbie księcia Ossuna.

Upłynęły im tak całe trzy lata i miało zapewne upłynąć nierównie więcej. Lubo w porównaniu z przeszłością wielkiem to było szczęściem, odzywała się przecież coraz głośniejsza tęsknota do stron rodzinnych. Dumając o nich żałośnie, otrzymują nieboracy jednego razu osobliwszy rozkaz od pana. Przynoszą im strój bogaty i każą ubrać się od stóp do głowy w jedwabie i aksamity. Tak przystrojonych prowadzą dworzanie do sali wice-królewskiej, w której zastają ucztę wspaniałą.

U stołu pomiędzy dwunastu książętami siedzi wice-król, a przy nim jakiś młodzian dorodny, widocznie Polak. „Jestto syn waszego wielkiego Zamojskiego“ rzecze do zdumionej szlachty wice-król „daję mu was w darze obudwóch.“

Uszczęśliwieni towarzysze niedoli przypadli z kolei do kolan wice-króla i młodego pana z Zamościa. Z ojcem wyszli niegdyś z ojczyzny, z synem powrócą teraz do niej.

Jakoż stało się to niebawem. Jeszcze tegoż samego roku 1617 zawitał młody Tomasz Zamojski z kilkoletniej podróży do ojczyzny, a z nim stanęli w niej także obaj wyzwoleney z jasyru. Hojny syn zmarłego już założyciela Zamościa dopomógł im zapewne do spokojnego spędzenia reszty żywota, czy to pod jego własnym dachem, czy pod odzyskaną strzechą rodzinną. Bądź co bądź dziękowali oni Panu Bogu za terażniejszość i nie lubili wspominać o przebytych jasyrze. Niewola na galerach nabawiła piętnowania przed zakuciem u wiosła, a taki ślad ręki pogańskiej nie pocholebiał szlacheckiej dumie.

Jakoż za ledwie kilka nawiasowo rzuconych słów jednego z uczeńszych dworzan Zamojskich przechowało pamięć bezimiennych szlachciców, darowanych panu Tomaszowi w Neapolu.

Ale i najznakomitsi magnaci polscy dostawali się czasem do jasyru i ciężkie tam przechodzili koleje. Oto co opowiada Szajnocha o niewoli Koniecpolskiego.

Nieszczęśliwa wojna cecorska przyniosła bogate żniwo jasyru dla Tatarów i Turków. Najprzedniejszym ze wszystkich jeńców był hetman pólny koronny, Stanisław Koniecpolski. Niedawno ożenionemu kazał niepomysłny los wojny pożegnać się na zawsze z myślą o domu, rzec się wszystkiego, co przypominało dawną świetność i chwałę. Błąkając się niepoznany pomiędzy tłuszcza łupieżników wołoskich, rozsypaną dokoła pobojowiska, zrzucił z siebie dla utajenia osoby wszelkie bogatsze przybory stroju, cisnął w las pierścień dyamentowy, ale nie mógł postąpić podobnie z dyamentowym krzyżkiem z relikwiami, który nosił na piersi. Ten zdradził go oczom drapieżców, którzy kosztowności zabrali, a samego hetmana odstawili srogiemu Iskanderowi baszy.

Uprowadzony przez tegoż do Białogrodu, wtrącony został hetman do dziwnie brudnej i niewygodnej turmy. Pośrodku wieży przewleczony był łańcuch wielki, u którego pomykały się na kolcach inne łańcuchy. W taki tedy łańcuch wsadzono hetmana w okowach. Okienko tylko było małe, którem więźniom jałmużnę podawano. Po rychłej śmierci Iskandera baszy uwieziono jeńca z tego tatarskiego tarasu do Carogrodu.

Tam niewola pogańska, w dodatku do ciężkich cierpień fizycznych, dręczyła jeszcze cięższemi niekiedy pokusami. Do przyprowadzonego na dywan <sup>1)</sup> więźnia rzecze wezyr: „Obieraj sobie, albo na muzułmańską wiarę przystań, a pan mój da ci zaraz 50,000 wojska. Pójdziesz do Persyi, co kosztem pana mojego zdobędziesz, to twoje będzie. Jeżeli tego nie uczynisz, w niewoli żywota dokończysz.“ Powiedział na to hetman: „Uczynić tego nie mogę, bo gdybym Bogu memu

i panu memu wiarę złamał, i waszój pewnie nie miałbym wiary.“ Na to rzekł wezyr: „Idźże na więzienie wieczne, a to już odemnie grzech odpadł. Nie moja wina, na mnie nie narzekaj.“<sup>4)</sup>

Porwali się z dywanu wszyscy, odeszli Koniecpolskiego, nie wiedział, gdzie się obrócić. Niebawem przecież kazał wezyr wziąć go na barkę. Miłą za Konstantynopol odwieziony został do Jedykuły, albo Czarnej wieży. W tém osławioném na całą Polskę więzieniu zdarzyły mu nieba o wiele znośniejsze życie, niż się obawiał. Siedział w jednej sali z dwunastu innymi więźniami różnych narodów, którzy wraz z Koniecpolskim otrzymywali kilka asprów <sup>1)</sup> dzienniego żołdu. Przez dwie godziny na dobę pozwalano im przechadzać się na bani czyli po górnej sali, nad morzem; resztę dnia skracano sobie modlitwą, rozmową albo grą w karty.

Na czas niejaki stała się hetmanowi niemłą rozrywką jaka taka znajomość zegarmistrzostwa.

Agą tej wieży miał kilka zegarów, z którymi nie umiał się sprawić. Przyszedł do więźniów, pytając, czy który nie potrafi postawić zegarów. Hetman koronny rzekł: „Gdybym widział, zrozumiem.“ Rad aga kazał mu za sobą iść. Dwa mu ich zaraz naprawił. Nazajutrz przywołany od agi znowu dwa naprawił, a jeden z wczorajszych umyślnie zatrzymał. I tak przez czas jakiś wychodził do owych zegarów.

Nieskończenie większą pociechę sprawiła okoliczność następna. Usługujący hetmanowi Turczynek przyniósł raz jakiś kaftan na sprzedaż. Po łatwym targu, maca hetman kupioną odzież i znajduje coś zaszytego. Rozpara i znajduje listy z ojczyzny i tysiąc kilkaset czerwonych złotych, rzędem w szeroką lamówkę wszytych. Jeszcze w Białogrodzkiej wieży powiodło mu się przesłać wiadomość o sobie królowi i przyjaciołom, którzy teraz tajną odwzajemnili się odpowiedzią.

Przyniósł ją pewien u dworu królewskiego w Warszawie służący Tatar, skłoniony do tego obietnicą hojnej zapłaty i nieochy-

<sup>1)</sup> Tak nazywają radę ministrów w Turcyi.

<sup>1)</sup> Drobną monetą turecką.

bniej wolności za powrotem z poselstwa. Potrzeba zaś było tak fortelnego znoszenia się z hetmanem, gdyż jako jeden z wodzów podjętej przeciw sułtanowi wojny cecorskiej, miał on przeciw sobie osobisty gniew padyśzacha i był wyjęty ze zwyczajnego trybu postępowania z jeńcami, którym pospolicie pozwalano porozumiewać się z krewnymi o wykupno. Owoż donoszono teraz z domu Koniecpolskiemu, iż wyjedzie niebawem wielkie poselstwo z Polski do Turcyi, że załeczone będzie posłowi traktować o wykupieniu hetmana, przez co jest wszelka nadzieja ujrzenia go niebawem w stronach rodzinnych.

Nim to jednak nastąpić miało, ciągnęła się dalej przeszło dwuletnia już niewola w Czarniej wieży. Słyszał raz Koniecpolski przez ścianę jęki cecorskich współtowarzyszów niewoli, duszonych w obocznej sali za wyrokiem dywanu. I hetmanowi naszemu mógł lada chwila nadejść takiż firman <sup>1)</sup> śmiertelny. Więzy bisurmańskie zaczęły coraz ciężiej przygniatać duszę. Aż nakoniec stanął w Carogrodzie oczekiwany poseł z Korony, a z nim przybyli także wysłańcy od rodziny hetmańskiej, wiozący pisma polecające do różnych osób i pieniądze na okup. Po usilnych zabiegach i targach powiodło się wykupić hetmana za 30,000 talarów twardych.

Ponieważ nadesłani z Koniecpola dworzanie przywiezli lżejsze talary kopowe, musiał posługujący od korony książę Jerzy Zbarazki przydać do dopełnienia wagi znaczną ilość własnych sreber stołowych. Gdy wychodził z wieży hetman koronny, aga kazał zarznąć kilka baranów na wyjście znakomitego więźnia polskiego i rozdać pozostałym towarzyszom niewoli. Laskę mu też darował z życzeniem, aby w dobrém zdrowiu do domu przyjechawszy, z tą laską chodził po swoim ogrodzie, a hetman nawzajem 100 talarów mu dać kazał.

Resztę ciekawych opowiadań Szajnochy o jasyrze muzulmańskim zostawiamy na drugi raz.

<sup>1)</sup> Tak nazywa się w Turcyi każdy rozkaz w imieniu sułtana wydany.

## PODWÓJNY JUBILEUSZ.

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia

(Ofiarowane Żani i Loli R.)

Kilka lat temu byłam świadkiem tak pięknej uroczystości rodzinnej, że doprawdy warto wam ją opisać, kochani czytelnicy. Na Litwie, we wsi Kamienna Góra, córki i synowie państwa Kamińskich obchodzili złote wesele swoich rodziców, czyli pięćdziesięcioletni jubileusz ich wspólnego pożycia.

Na tę uroczystość zjechali się bliżsi i dalsi krewni Kamińskich, przyjaciele, znajomi, tak że ogółem liczono osób blisko dwieście. Ponieważ córki i synowie jubilata mieszkali wszyscy w tej samej okolicy, bliżsi krewni mieścili się u nich po kilkadziesiąt osób w jednym domu. Reszta zajechała do innych sąsiadów i do pobliskiego miasteczka, gdzie urządzono dla nich o ile było można najwygodniejsze mieszkanie.

Nie wiem jak dla innych, ale to wiem, że dla najmłodszych gości, właśnie te dni poprzedzające uroczystość były najzabawniejsze i najweselsze. Osądźcie sami! Czy to nie zabawnie, że chłopczyki idą wszyscy na noc do stodoły i śpią na sianie, a wszystkie dziewczynki mieszczą się w ciasnym pokoju, jak śledzie w beczce, tak, że nawet śpią na stole i pod stołem. Pościel pooddawano gościom, a domowi obchodzą się bez niej jak mogą. Śpią na sianie, lub słomie dywanami zaskanej. Ta okryła się jakąś starą franką, tamta szlafrokiem swęj mamy, inna znowu śpi na poduszce swego pieska, prześcierałem owiniętej i t. p. Niebardzo to wygodnie, ale zabawnie, ach, jak zabawnie! Wdzień jeszcze weselęj. Gry, zabawy, przechadzki, pływanie łódką po rzece, bieganie i figle różne, bez przerwy następują po sobie.

Nakoniec 8 Września, w dzień imienia samej pani Maryi Kamińskiej, odbyła się uroczystość złotego wesela. Najprzód rano była Msza w salonie, potem wyszliśmy wszyscy na ganek, gdzie oboje państwo Kamińscy przyjmowali deputacyą wysłaaną do nich

przez włościan. Kilku wieśniaków przyniosło ogromny kosz pełen melonów i innych owoców, jako dar dla naszych jubilatów, a jeden z nich, najstarszy, przemówił w imieniu wszystkich mieszkańców wioski, będących w posiadaniu rodziny Kamińskich. Winszował im, że szczęśliwie doczekali dnia dzisiejszego, mówił, że oni wszyscy cieszą się radością swoich panów i życzą im, aby zawsze szczęśliwi byli. Na końcu dodał, że tacy ludzie, jak pp. Kamińscy, wszystkim za przykład służyć mogą w tém, że są przyjaciółmi włościan, że im zawsze radą i czynem najchętniej dopomagają i że cała rodzina Kamińskich może być pewną szczęścia i błogosławieństwa Boskiego w tém życiu, a zbawienia w przyszłym.

Państwo Kamińscy dziękowali im serdecznie, i częstowali hojnie, poczem udaliśmy się wszyscy na obiad, do którego trzeba było nakryć dziesięć stołów. Każdy był w sali osobnej, ustawiony w podkowę. W czasie obiadu dwie muzyki, umieszczone w środkowym salonie, grały naprzemiennie dla gości.

Nie będę opisywała ani gustu, jakim odznaczało się urządzenie salonów, ani gościnności, z jaką tam podejmowano wszystkich, gdyż to za wiele zabrałoby miejsca. Powiem tylko, że w głębi środkowego salonu, naprzeciw drzwi ogrodowych, ustawiony był ołtarz, przy którym wieczorem odbyła się główna uroczystość dnia dzisiejszego.

Jak tylko zapalano lampy, żyrandole i świece przy ołtarzu, ukazał się ksiądz kanonik w ubiorze pontyfikalnym, a zaraz potem i „młoda para“ staruszków zajęła swe miejsca w fotelach, u stóp ołtarza.

Pan Edward Kamiński był we fraku, ubrany jak niegdyś do pierwszego ślubu. Żona jego Marya miała blado-niebieską suknię jedwabną i biały koronkowy czepeczek na śnieżnych włosach. Najmłodsze z wnucząt trzymały nad głowami obojga wieńce z bia-

łych róż. Nieco dalej rodzina i goście otaczali ich półkolem.

Po krótkiej modlitwie, kapłan przemówił stosownie do chwili, a potem wręczył obojgu jubilatom poświęcone laski hebanowe ze srebrnymi ozdobami i z odpowiednimi napisami. Te laski, to także był dar dzieci państwa Kamińskich. Po skończonej ceremonii, wszyscy obecni przyklękali przed parą staruszków, którzy błogosławili ich swemi laskami. Rozrzewniający był widok, kiedy siostra jubilata, o kilka lat starsza od niego, przyklękła także, by przyjąć błogosławieństwo.

Uroczystość zakończyła się bale, który bardzo miłe po sobie wspomnienie zostawił, dzięki znacznej myśli „państwa młodych.“ Mieli oni zamiar na pamiątkę dnia dzisiejszego ofiarować pewną sumę na cel dobroczynny. Goście, dowiedziawszy się o tém, zapragnęli także wziąć udział w tym szlachetnym uczynku. Na ich prośby, jedna z wnuczek jubilata wzięła w rękę srebrną tacę i obeszła z nią dokoła sali. Taca napełniła się prędko srebrną monetą i wartościowymi papierami, tak że suma ogólna, już nie na jeden, ale na kilka celów dobroczynnych została po-

tém użytą. Bawiono się i tańczono ochoczo. Przy kolacyi znowu muzyka i nakoniec huuczne wiwaty na cześć „państwa młodych.“ Bal trwał aż do rana.

Na drugi dzień po obiedzie ci, którzy przybyli z najbardziej oddalonych okolic, odjechali do siebie, pożegnawszy serdecznie rodzinę państwa Kamińskich. Zawsze jednak zostało jeszcze osób tyle, że wieczorem znowu były tańce niemniej ożywione i wesołe, jak wczoraj.

Na trzeci dzień pan Edward Kamiński oświadczył nam, że pragnie obchodzić także dwudziesto-pięcioletni jubileusz służby swego ogrodnika i prosi nas o wzięcie udziału w tej uroczystości. Wszyscy z największą ochotą zgodziliśmy się na to.

— Chodźmy teraz na obiad—rzekł pan



Zabawa w cieniu.





Ptaki i osieł. (Rys. W. Gersona).

Edward Kamiński—bo już dali do stołu.  
Prosimy!

Na te słowa wszyscy powstali i poszli pa-

rami do sali jadalnej. W tej samej chwili  
wnuki pana Edwarda wprowadziły tam tak-  
że dzisiejszego jubilata.

— Zygmunt Markowski, ogrodnik jakich mało, wierny sługa i przyjaciel najlepszy naszej rodziny—wyrzekł pan Edward Kamiński, przedstawiając gościom zacnego domownika.

Markowski, siwy już starzec, niezmiernie miłej powierzchowności, ubrany starannie, stał pośród dzieci i wzruszony, to zaprzeczał, to dziękował serdecznie, gdy pan Edward Kamiński opowiadał gościom o jego długoletniej służbie, o jego przymiotach, zaślugach, i zakończył temi słowy:

— Proszę cię, siadaj tu z nami, kochany Zygmuncie, będziemy razem obiadować. Trzeba nam wypić szampana za twoje zdrowie!

Obiad przeszedł bardzo wesoło. Zaczny jubilat ze łzami w oczach dziękował, gdy goście podnosząc w górę kielichy, wołali:

— Niech żyje Zygmunt Markowski!

— Cześć i poszanowanie wiernemu słudze!

Po obiedzie, stary ogrodnik jeszcze raz podziękował wszystkim, i zaprosiwszy nas na podwieczorek, poszedł do domu.

O zachodzie słońca, powróciwszy z przechadzki, udaliśmy się wszyscy do mieszkania Zygmunta. Był to niewielki, ale zgrabny biały domek, otoczony ślicznym ogródkiem, położony na końcu parku. Za domkiem ciągnęło się należące do niego pole, niewielkie lecz uprawione starannie. Była to własność pana Edwarda Kamińskiego, dana tylko na używanie ogrodnikowi.

Ponieważ towarzystwo nasze nadto było liczne, żebyśmy mogli pomieścić się wszyscy w tym ślicznym, białym domku, lipami ocienionym, nakryto dla nas stoły w ogródku. Podwieczorek składał się z owoców, nabiału, orzechów, chleba i miodu. Za napój służyła woda. Ozdobę stołów stanowiły bukiety pięknie ustawione. Ptaszki, śpiewające dokoła, zastępowały orkiestrę. Zygmunt, jego żona i dzieci, przyjmowali nas tak uprzejmie, tak gościnnie, że doskonale bawiliśmy się u nich.

Po skończonym podwieczorku, pan Edward Kamiński wstał, podziękował Zygmunutowi za gościnne przyjęcie i rzekł:

— Kochany Zygmuncie, z całego serca pragnąłbym okazać ci moje wdzięczność za

tyle lat sumiennej, gorliwej pracy i za tyle dowodów twego przywiązania, ale żadna nagroda nie wydaje mi się dość wielką w obec twoich zasług. Nie jestem w stanie odplacić się tobie jakbym powinien, ale co mogę uczynić, to czynię i proszę cię, przyjm ten drobny dowód naszej wdzięczności takim sercem, jakim my go ofiarujemy.

To mówiąc, pan Edward Kamiński podał rozrzewnionemu Zygmunutowi papiery, zawierające akt posiadania tego domku wraz z przyległościami.

Zdziwienie, a potem radość i wdzięczność całej rodziny ogrodnika były tak wielkie, że opisać trudno.

Gdy Markowski chciał dziękować, pan Edward przerwał mu:

— Ani słowa więcej. Twoje zasługi, twoje przywiązanie do nas, to podziękowanie dostateczne. Nie mówmy już o tém.

To powiedziawszy, pożegnał Markowskich i oddalił się zaraz, żeby nie słyszeć ich podziękowań.

I my też wkrótce udaliśmy się za nim.

— Co to za szczęśliwi ludzie, ci państwo Kamińscy—zauważyłam, wracając do pałacu.

— O tak, szczęśliwi prawdziwie—odpowiedziała mi pani Walerya, synowa szanownych jubilatów—tak zawsze myśleć o drugich i tak być kochanemi i szanowanemi jak oni, to szczęście największe!

— Ile to oni sierot wychowali i wyposażyli, ile dobrego zrobili, ile robią ciągle, to trudno wyliczyć—dodał jeden z panów.

— To też nie dziwnego, że Bóg pozwolił im szczęśliwie doczekać złotego wesela w gronie całej rodziny i wszystkich przyjaciół.

— Sprawdza się tutaj widocznie co lud prosty powiada: „Kiedy ktoś czyni dobrze drugim, to Bóg każdą łzę wdzięczności obdarowanego zamienia w chwilę szczęścia dla dobroczyńcy“—zakończyła pani Walerya.

W kilka dni potem i my także pożegnaliśmy państwa Kamińskich i opuściliśmy Kamienną Górę, unosząc z sobą najmiłsze wspomnienie dni tam spędzonych.

Władysława Guzowska.

## BOHATERKA Z NAD SZRENIAWY,

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Paulinę Krakowową.

*(Dalszy ciąg).*

Stary Biernat krzycał, kłął i wygrażał kijem, ale zamiast posłuchu odbierał zuchwałę pogroźki i nieraz wzburzony przychodził do pani, prosząc o pozwolenie ukarania zuchwałych:

— Mam przeciw jeszcze pacholków mówił— a który z nich chce jeść z dworskiej misy, słuchać mię musi; jak im każę pochwycić i związać nieposłusznego warchoła, a otrzepawszy wsadzić do lochu na chleb i wodę, to się wszystko znów do dawnego powróci.

— Powoli, powoli, Biernacie!— odpowiadała Małgorzata— trzeba do nich spokojnie jakoś przemówić, nie drażniąc, może się sami opatrzą, a jak da Bóg, że pan powróci, to się wszystko uciszy.

— Dobrze wam tak mówić, bo nie wiecie, co się święci; ze starszymi to jeszczeby człowiek trafił do ładu, ale najgorsze te dudki, co bez kary z dzieciuchów ponadrasały; co to temu w głowach, a co w gębie, Boże odpuść! aż uszy więdną.

— Wiesz, Małgosiu!— rzekła Halszka z cicha— on słusznie mówi. Nie chciałam cię niepokoić, ale ja sama nieraz słyszałam takie rzeczy, że aż mnie twarz od nich paliła; nie śmiem nawet chodzić na pole gdzie orzą, bo już parę razy przemówiono do mnie i o mnie, jak mawiają do Zuźki lub Barbarki.

Małgorzata ścisnęła siostrę za rękę, a w spojrzaniu jój znać było, że powód tej skargi nie był jój niewiadomym. W istocie ona sama, choć starsza, zamężna i pani dworu, coraz mniej spotykała tego uszanowania, do którego nawykła z dzieciństwa pod opieką zbrojnej prawicy ojca a później męża.

Na ten raz skończyło się na tém; Biernat mruczał, zrzędził, ale jeszcze sobie jakiś czas

radził, nie odwołując się do pani; wyprawiono chłopaka do Brzezia po wiadomości, bo już stęsknionym córkom zbyt się dłużył czas rozłączenia. Parę tygodni spłynęło w oczekiwaniu, wysłaniec nie wracał i już go oczekiwać przestano, gdy w miejscu jego przyszedł strudzony dość daleką drogą stary Matys, niegdys woznica, a od lat kilku wier-ny dozorca w Brzeziu.

Nie było tam weselej, ani spokojniej, niż w Zembocinie; zuchwali kmieciowie i słudzy nie tylko że z żadną nie przychodzili pomocą, ale w same święta wielkanocne licznym tłumem zebrali się przed dworem, a kiedy im kobiety dworskie drzwi przed oczyma zatrzasnęły, powiedzieli, że chcą po staremu pani się pokłonić.

Pani Hanna kazała wpuścić starszych, którzy wprawdzie pokłonili się przed nią, ale gdy ich do nakrytego stołu na chleb i sól zaprosiła, zamiast przyjąć wdzięcznie, jak kiedyś, tę oznakę gościnności, odmówili, utrzymując, że nie w gościnę, ale ze sprawą przyszli.

— Jakaż sprawę możecie mieć do mnie— rzekła pani domu— wiecie, że ja inaczej nie rozrządzać nie będę, tylko jak mąż mój postanowił. Przeszło już tyle czasu, poczekajcie jeszcze, jak powróci, to się sam z wami ułoży.

— Wiecie wy dobrze, że on już nie wróci— rzekł najwymowniejszy z gromady— nie wróci, jak nie wrócił krewniak wasz z Brozycy.

Zatrwożyła się pani, ale po chwili, krzepiac się na duchu, rzekła:

— Bóg widzi, że ostatnie wiadomości, jakie miałam od mego męża i pana, były pomyslnie i że niezadługo wrócić obiecywał.

— Obiecać mógł, ale dotrzymać czy potrafi, ztamtąd, gdzie się teraz okrutnie rąbią i kłóją, to rzecz inna. My też mamy swoich wysłańców, co nam wieści znoszą i wiemy, że mało kto wyjdzie żywy z onych tam opaków.

Lubo z sercem ścisniętém tą obojętnością, z jaką przy niej tak bolesne wymawiano przypuszczenia, pani Hanna zapytała spokojnie na pozór:

— Więc czegoż chcecie odemnie? cóż mam

zrobić, byście znów pracowali spokojnie, dopóki nie dowiemy się prawdy?

— Zróbcie nam sprawiedliwość! Na co wam tyle ziemi, koni, wołów? Dla czego mamy wszyscy na was pracować? Alboż to sami jedni potrzebujecie tyle?

— Pracowaliście jednak i dobrze wam było.

— Pracowaliśmy, bo był pan doma; była głowa, co i królowi stawić się mogła, tośmy chętnie słuchali, bo w każdej potrzebie poradzić, a i obronić nas było komu. A dziś co? dawne pacholę przynoszą nam wasze rozkazy, a jak się poswarzymy, to i pogodzić nas niema komu. Dzieci nasze rosną, ani ich gdzie na służbę lub robotę dać, ani niema na czém osadzić; cóż dalej będzie?

Pani Hanna lubo łagodna i dobra, umiała rzeczy ważyć i szybkie tworzyć postanowienia; rzekła więc:

— Moi ludzie, idźcie z Bogiem! Ziemi nie dam, ani zabierać nie pozwolę, bo to królewskie prawo; ale jeśli wam brak wołów, koni, lub czegokolwiek co moję własność stanowi, podzielę się z wami chętnie.

I tym sposobem uciszyła na czas jakiś wzburzonych; kazała otworzyć stajnie, spichrze, obory i patrzyła spokojnie, jak z okrzykami radości zabierano jęj mienie, jak się ludzie rozzuchwaleni kłócili i bili pomiędzy sobą, komu się lepsza część łupu dostanie, odwołała Matysa, co chciał ocalić jakąś część dobytku i kazała wszystkie drzwi i wrota dworskie silnie zaprzęć, zapowiadając, że odtąd nie od kmieci żądać nie będzie, i widzieć ich nie chce, póki pan do Brzezia nie powróci.

Tak opowiadał Matys, wysłany w jakiś czas potem przez niespokojną matkę do córek, by je zawiadomić, co się działo w domu, i jaki to duch oporu i chciwości rozszerzał się po kraju. Bo nie w Brzeziu tylko podobny zaszedł wypadek; gdzie nie umiano cząstkowem ustępstwem zaspokoić w porę chciwego tłumu, tam zabierano wszystko; żony, wdowy i dzieci rycerzy, nie dających wieści o sobie, wyganiano ze dworów, zajmując je dla siebie i uczując przy stołach niedawnych panów swoich.

Gdzieniedzie gorzej jeszcze się działo:

niewiasty, których mężowie rzeczywiście na wojnie polegali, lub też złudzone fałszywą o ich śmierci wieścią, nie mając odwagi oprzeć się naciskającemu prostactwu, i nie chcąc się narażać na nędzę i przesładowanie, wychodziły za kmieci, a nawet za pacholów niedawno w domownictwa liczbę przyjętych; takie dwory odpadały od rycerskiego społeczeństwa; znajomi, krewni, nawet bliższa rodzina usuwała się od takiego domu, gdzie poszanować nie było kogo, a może podług dawnych praw i zwyczajów nie chciano, lub nie umianoby ich przyjąć.

W pierwszą niedzielę, po nabożeństwie, Zembocińskie panie wraz z Matysem poszły na plebanią, by wszystko opowiedzieć staremu przyjacielowi, proboszczowi miejscowemu, zacnemu i sędziwemu bożemu słudze.

Wysłuchawszy uważnie, rzekł:

— Dzieteczki! nie nowa to dla mnie rzecz; od dawna przewidywałem, że do tego przyjdzie; chybaby Bóg świętą wolą swoją sprowadził nakoniec do kraju one głowy, co z Jego ramienia od tak dawna ład tu trzymały, a co teraz na obczyźnie może marnieją.

— O! tak, mój ojczel! wszyscy za tém gorąco wdychamy, bo to jedyny sposób wrócenia do spokoju, tak bardzo dziś zamąconego.

— Kiedy trzoda odbiega pasterza, słudzy buntują się przeciw panu, dzieci odstępują ojca, to już, dzieteczki moje, nie może być inaczej. Znaćcie tak dobrze, jak ja sam, tych wszystkich, co ochrzczeni, nauczeni, zaślubieni w tym kościele, przychodzili tu dziękować Bogu za szczęście swoje, przychodzili po radę, pomoc, pociechę w smutkach i dolegliwościach i odnosili ją. Dziś ilu z nich widzieliście na dawnych miejscach?

— Dziwno nam było, dla czego tak mało ludzi było na dzisiejszém nabożeństwie; dziwniej jeszcze i przykro bardzo, że nawet ze dworu ledwie połowy domowników, a nawet kobiet doliczyć się było można.

— A ja się już nie dziwię, dzieteczki! Niech tylko dla jednego zła uchylą się drzwi, a już wszystkiemi szparami leci ich cała chmara, ciśnie się i rozsiada. Bóg widzi, że pracy mojęj nie żałuję; ostrzegam, napominam, zdrowie i życie moje dałbym chę-

tnie, by utrzymać na wierne sługi Bogu tę gromadkę, którą przyrzekłem prowadzić podług Jego woli; i cóż ztąd! Uciekają od staro proboszcza, co nawołuje do poprawy, a po lasach i trzęsawiskach, z czarami miodu w rękach, płaczą się w kółko i wyśpiewują pogańskie śpiewki.

— Ach, mój ojcie! czyżby aż do tego przyszło?

— Przyszło, dziateczki, przyszło! Na Kwietnią niedzielę czekałem aż po dawnemu chłopaki i niewiasty naznoszą wiosennego ziela, borówek, leszczyny, mchu zielonego, by z tego postroić palmy i przyjść z nimi na poświęcenie do kościoła; nie widząc nikogo w sobotę po niesporach, wyszedłem sam z kościelnym chłopcem do lasu, by choć dla nas na palmy nazbierać zieleni, bo myślałem sobie, że może ludzie zapomnieli, lub czasu nie mają. Tymczasem w lesie aż się czerniło; uwijały się kmiece niewiasty, pacholkiwie i nie rzadko gospodarze, a zbierali, wiecie co?

— Palmy pewnie, choć zapóźno?

— Wcale nie; umyślnie czekali zmroku, wyszukując bylicy, jemioly rosnącej na pniach dębowych i różnego ciemnego ziela, bo ich to od czarów bronić miało, albo do nich pomagać. A śpiewali, pokrzykiwali jakby w mięsopust; chciałem do nich przemówić, ale wołałem napróżno, więc odwróciwszy oczy i przysłoniwszy uszy, zawróciłem się do domu bożego, by się Panu uzalić i za zbląkanym pomodlić.

Stary Matys pokłonił się księdzu do kolan, mówiąc:

— Cóż na to począć, mój jegomość? bo mnie pani z Brzezia wysłała tu wyraźnie z tym poleceniem, bym córek jej oto strzegł i pilnował jak żrenicy oczu.

— Modlić się i ufać, że Bóg odwróci zło co nam grozi; idźcie w pokoju, dziateczki, i przedewszystkiem grzechu unikajcie. Pan nasza nadzieja! U niego ucieczka!

Zasmuceni, wrócili mieszkańcy dworu do domu, postanowili unikać wszelkich zająć z wiejskim ludem i tak roztropnie sobie poczynać, by do żadnych z jego strony wystąpienia nie dopuścić.

Wiosna już wszystkie swoje rozwinęła bo-

gactwa: gęsty liść pokrył drzew konary tak ściśle, że promienie słońca z trudnością przeciskały się przez zielen, ptaki usławszy gniazdką poskładały w nie jajeczka, na bronie założonej na dworskim dachu, wśród słomy i sitowia, co ją wyścielały, klekotały już bociany, wierne od lat kilku goście Zembocina. Łąki, puszystą trawą porośłe, pachniały wonią kwiatów, rozrzuconych jak wzory barwistego kobierca, oczekując ostrych kos, by je w całej krasie zdjęły ku pożytkowi ludzi; pszczołki brzęcząc korzystały z czasu, szukając w kwietnych kielichach słodkiego miodu, by zdobyć swoją ponieść do ulów i lesnych barci; komary, motyle barwne i muszki złociste, szmerem, brzękiem i nieustannym ruchem napełniały powietrze przesiąknięte balsamicznymi wyciewami drzew i tysiącznych roślin wygrzewających się w słońcu.

Ludzie także się poruszali ochoczo: u rzeczki i sadzawek, obok klepania kijanki, rozlegały się piosneczki dziewczek i niewiast piorących chusty domowe, wierzbowe fujarki przebrzmiały już wprawdzie, ale tu i owdzie pastuszek strzegący trzody wyciągał donośne tony z ligawki, psy pomagające mu w pracy czekały wesoło, nawet owieczki beczwały jakoś ochoczo, może dla tego, że nie przeczuwały jeszcze, by je wkrótce z miękkiego runa ogołocić miano.

Halszka i Małgorzata używały zarówno z całym otoczeniem swoim wdzięków piękną porę roku; dobra myśl i swoboda towarzyszyły im często, jako naturalny dar młodości; wychodziły odetchnąć wiosną w lesie i na łące, przysłuchać się szmerowi rzeczki, usiadłszy nad jej brzegiem, i układając z łącznych kwiateczków równianki, wspominać rodziców, brata i męża, których się kiedyś temi wonnemi wiązkami darzyło; a nie były to wesołe, lecz smętne i tęskne wspomnienia, bo im nie tylko żal za przeszłością, lecz i przyszłości obawa towarzyszyły.

Siódmy rok osamotnienia Zembocina dopływał do połowy, życie w niém, ożywione jedynie pracą i modlitwą, było prawdziwie sieroce; żadnej rozrywki, o gościu ani myśleć, bo wszędzie na okolicy panie trzymały się swoich progów; po wyjeździe pani Hanny parę razy zaglądał do dworu zacny i

szczerze życzliwy jego mieszkankom Benko z Grądów, ale że mieszkał opodal, a na siłach i zdrowiu coraz podupadał, i te odwiedziny ustały.

Uważały obie siostry, że ilekroć w wybieżkach swoich spotkać im się zdarzyło którego ze starszych kmieci, czy to przy pracy jakiej, czy przechodzącego, uchylał przed nimi głowę, jak dawniej, ale w milczeniu, bez zwykłego pozdrowienia; ile zaś razy ujrzały młodego człowieka, ten nigdy nie okazał żadnej oznaki uszanowania, ale stawał i przypatrywał się z uśmiechem dopóki nie przeszły, a czasem uśmiechowi temu towarzyszył gest poufałej życzliwości, która kobiety do wysokiego stopnia oburzała.

(d. c. n.)

## WIERSZYK DO GRY W PTASZKA.

*Dzieci tańcząc:*

Skakał wróbel u krynicy,  
Szukał złotych ziarn pszenicy,  
Aż ptaszynę małą, szarą,  
Obstały ziarnka chmarą,  
W koło w tan się zakreśliły:  
Wybierz jedno, wróblu miły!

*Ten kto jest w środku koła:*

Ja wróbelek u krynicy,  
Szukam złotych ziarn pszenicy,  
W koło ziarnka, wszystkie złote,  
Aż na wszystkie mam ochotę:  
Pijam rosy co najczystsze,  
Biorę ziarnko najzłocistsze.

M— a.

## ROZMAITOŚCI.

*Pozory często mylą.* Mała Zosia, uczennica jednego z tutejszych zakładów naukowych,

pożegnawszy rodziców, udała się zrana na pensyą. Towarzysząca jej służa niosła w tece książki, zeszyty, przybory do pisania, a zarazem skromne śniadanko, jako posiłek w godzinie na wypoczynek przeznaczonój. Wpół drogi Zosia, spotkawszy ubogiego starca żebraka, ofiarowała mu przez litość ową bułeczkę z masłem i szynką, mającą zaspokoić chwilowy głód podczas pauzy w lekcjach.

— Panienska pozbawiła się śniadania!— rzekła ze zdziwieniem służa.

— Mniejsza o to—odparła Zosia—poczekam do obiadu.

Przybywszy na pensyą, po przywitaniu przełożonej i swoich spóltowarzystek, Zosia zajęła w ławce zwykłe swoje miejsce. Po skończonych w połowie lekcjach, nadeszła chwila wypoczynku, wszystkie więc koleżanki wzięły się do spożycia przyniesionych z sobą zapasów, jedna tylko Zosia nie miała posiłku, co zwróciło uwagę innych dziewcząt.

— Patrzcie, patrzcie — zawołała jedna z nich — Zosia zapewne za karę nie dostała od mamy śniadania.

Naraz otoczyły ją wszystkie, dowcipkując i prześladując domniemaną karą, czém udręczona biedna Zosia od łez wstrzymać się nie mogła.

Spostrzegłszy to jedna z nauczycielek zaczęła badać przyczynę jój płaczu; mimo to Zosia nie chciała požadanego dać usprawiedliwienia.

— Powinnyście litować się — rzekła nauczycielka — jeżeli Zosia swoim postępowaniem zasłużyła na karę. Wyśmiewaniem wyrażacie jój przykrość. Jeżeli dziś zawiniła, na przyszłość będzie starała się poprawić i uzyskać przebaczenie swojej mamy. Zosia była zawsze pilną i wzorową uczennicą.

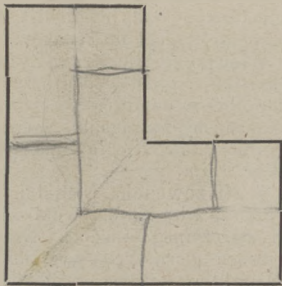
Mimo to nasza dziewczeczka, pamiętając na rodzicielskie przestrogi, że nie należy chwalić się ze swoich dobrych uczynków, nie wyjawiała prawdy. Wtém nagle ukazała się we drzwiach służąca Zosi, a wyjmując z koszyka dla swój panienki śniadanie, opowiedziała, że mama, w nagrodę za okazane miłosierdzie dla żebraka, powtórny przysłała jój posiłek.

Wtedy przełożona taką ztąd uczennicom udzieliła naukę:

— Pozory często mylą; nie bądźcie więc skoremi w sądzeniu. A teraz, przeproście Zosię za to, żeście niesłusznymi żartami sprawiły jej przykrość.

Uściski i pocałunki były nagrodą za chwilową boleść, którą lekkomyślne towarzyski zrzędziły Zosię wyśmiewaniem tego, co właśnie było dowodem dobrego serca i największy zaszczyt jej czyniło. A. G.

### Zagadka geometryczna.



Rozciąć tę figurę na cztery równe części tak, żeby każda z nich miała zupełnie ten sam kształt zmniejszony, co figura ta w całości.

### Łamigłówka w trójkącie. (S. Z.)

s a l o n  
o d . n  
e n  
o n  
n

Zapełnić kropki literami tak, żeby utworzyć: 1) Miejsce zebrań. 2) Kraj w Afryce. 3) Roślinę. 4) Zaimek.

### Z a g a d k a. (Wł. N.)

Pół litery, dziateczki,  
Na niej leżą książeczki.

### Rozwiązania do N-ru 4.

#### Rozwiązanie zagadki geograficzno-historycznej, zamieszczonej w Nr. 52 Wieczorów Rodziny,

(nadesłane przez Kazimierza Rog... z Warszawy i uznane za najlepsze przez redakcją, która przysądziła za nie nagrodę, Wakacje Janka i Zosi).

Wyspa Rugia, dawniej zwana Rana, Roja, lub Rojana, (po niemiecku Rügen) leży na morzu Bałtyckim, naprzeciwko ujścia rzeki Odry. Ma 20 mil kw. powierzchnię i 33,000 mieszkańców. Wyspa ta ma kształt osobliwy, ponieważ składa się z wielu przylądków i półwyspów, głęboko zachodzących w morze, co sprawia, że obwód jej, jeśli się objeżdża blisko brzegów, jest bardzo rozległy. Ma ona dwa główne półwyspy: Jasmund i Wittów. Jasmund z przylądkiem Stubenkammer, wysokości 563 stóp, (nazwa ta przeobrażona ze słowiańskiego Stopnie-Kamienne). Z tego przylądka przeszliczny jest widok na morze. Tam wśród lasu znajduje się jezioro Czarne, gdzie, według wskazówek Tacyty, historyka rzymskiego, czczoną była bogini Herta (Ziemia). Na półwyspie Wittów znajduje się przylądek Arkona, gdzie dawniej wznosiła się świątynia czterogłowego Światowita. Cała wyspa pokryta jest szczątkami starożytnych świątyń i grobów. Jest ona bardzo urodzajna. Najwyższym punktem jest góra Rugard, znajdująca się niedaleko głównego miasta Bergen. Rezydencja księcia, który znaczną część wyspy posiada, jest Podbórz, (Putbus), jest tam bardzo piękny pałac, park, zwierzyńiec i kąpiele morskie, do których wiele osób się zjeżdża. Zbliżając się do tej wyspy ma się przed oczyma przeszliczny widok, gdyż brzegi i góry kredowe, świeżo okryte zielonością, odbijają na tle ciemnego błękitu. Wyspa ta należała w różnych czasach to do Szwecyi, to do Danii, a teraz należy do Pruss.

(Oprócz tego nadesłali dobre rozwiązania: Felicja Sz z Poborza, Gustaw Z. z Łążyńska, J. Św. uczeń gimnazjum z Warszawy, Anulka J. z Niszowic i Karusia Gr. z Józków Rogu.

## Łamigłówki głoskowej:

Girej  
Osa  
Michał  
Ucho  
Ławnik  
Kadi  
Anam.

Gomułka—Mikołaj.

## Magicznego kwadratu:

10	12	8	17	18
14	16	25	9	1
2	21	3	20	19
15	11	22	13	4
24	5	7	6	23

## Odpowiedzi od Redakcyi.

Oleci Gr. w Dąbrowie Górniczej. Zawsze z wielką przyjemnością odbieramy liściki tak starannie i wyra-

źnie pisane. Rozwiązania łamigłówek wszystkie są trafne. Siostrzyczce Tosi, która tak pilnie *Wieczory* czytuje, zasyłamy ukłony i czekamy osobnego od niej liściku.

Hańdzi Dm. w Udryjowcach. Szkoda, że siostrzyczka nie podpisała swojego imienia, przesyłając nam bardzo dobre rozwiązania zagadki. Domyślamy się, że to ta sama Jadwinia, która swoje o-zzczędności ofiarowała dla biednych chorych dzieci. Rubla włożyliśmy do puszek, gdzie składamy ofiary na Szpital Dzieciny. Na pierwszych liścikach odpowiedzieliśmy w Nrze 3-cim Pisma. Wszystkich kochanych korespondentów naszych upewniamy, że nigdy nam się naprzykrzyć nie mogą, pisując choćby najczęściej.

P. Aleksandrowi Sz. w Białymstoku. Początek powieści wysłał nam pod adresem p. Kahana księgarza, chociaż adresu tego nie mamy w naszej redakcyi i nie wiemy, jaką drogą ten pan odbiera *Wieczory*. Nadesłane rebusy nie są złe, ale niestosowne do naszego Pisma. Prosimy o inne, przedewszystkiem potrzeba, ażeby były polskie, bo francuzkich nie możemy zamieszczać.

Sfinksowi. Łamigłówki wydrukujemy chętnie, tylko troszkę później, bo mamy duży zapas wcześniej nadesłanych. Nie pojmujemy, dla czego list w Lipcu datowany teraz dopiero doszedł do redakcyi?

Wandzi i Wicenzysławie Pr. w Żytomierzu. Oba rozwiązania są trafne; prosimy o dłuższy liścik, żebyśmy mogli dać dłuższą odpowiedź.

Rózi J. Dziękujemy za zagadki, zamieścimy je chętnie, oprócz jednej, która z małą zmianą już była drukowana w *Wieczorach*.

Anulce J. w Niszowcach. Nadesłana zagadka byłaby bardzo dobra, żeby się dało dobrać trzecią zgłoszkę z jakiego starożytnego imienia. Nazwisko współczesne obok dwóch pierwszych wygląda troszkę niestosownie. Pomyśl w każdym razie jest wyborny, i warto, żeby był użytkowany.

Wzmianka o 10 rs., ofiarowanych przez M. C. i Z. C. na pomnik Hoffmanowej, za pośrednictwem naszego Pisma, drukowana była w *Kuryerze Warszawskim* jeszcze 4 Grudnia 1880 r.

## Ogłoszenie.

Pozostałe kompleta *Wieczorów Rodziny* z r. 1880 są do nabycia, zbroszurowane po cenie zwyczajnej w Redakcyi i w księgarniach. Za przesyłkę pocztową dopłaca się 50 kop.

Treść: Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem), przez M. J. Z.—Ptaki i osieł, bajka, (z drzeworytem).—Powieści o niewoli na Wschodzie.—Podwójny jubileusz, przez Władysławę Guzowską.—Bohaterka z nad Szreniawy, powieść historyczna, przez Paulinę Krakowową, (dalszy ciąg).—Wierszyk do gry w ptaszka, przez M—a.—Rozmaitości.—Łamigłówki.—Rozwiązanie zagadki historycznej (z nagrodą) i inne rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenie.—W dodatku Tajemnica Starego Dworu (powieść).

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dzieciny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½ *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt.: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyę: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyę: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biuro Redakcyi: Ulica Ś-te Krzyzka Nr. 14.

Дозволено Ценаурою. Варшава, 19 Января 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.